

# Redlum

Katarzyna Rupiewicz





Katarzyna Rupiewicz

# Redlum



## **Redlum**

Copyright © Katarzyna Rupiewicz

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Paweł Dobkowski

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2016 r.

druk ISBN: 978-83-7995-054-6

epub ISBN: 978-83-7995-055-3

mobi ISBN: 978-83-7995-056-0

Redakcja: Dawid Wiktorski

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Ilustracja na okładce: Paweł Dobkowski

Projekt i skład okładki: Paweł Dobkowski

Skład i typografia: [Studio Grafpa](#)

Redaktor serii: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Podmiejska 13 box 27

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

**Książka dostępna w księgarni: [www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)  
i [www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)**

# Spis treści

Prolog .....	7
TAM, GDZIE ZACZYNAJĄ SIĘ BAŚNIE... ....	17
Bajka o kopcuszkuz .....	19
Za murami, za lasami... .....	53
Zabawa w Prometeusza.....	79
Pewnego razu żył sobie... .....	103
Kupić kotka w worku .....	137
Rozgrywka matki natury .....	167
...I TAM, GDZIE SIĘ KOŃCZĄ .....	183
Lekcja wielkich słów .....	185
Grubymi nićmi szyte .....	219
Interludium .....	251
Gdy zapłonie krew .....	261
Mury owiane legendą .....	281
Koniec słodkich kłamstw .....	307



# Prolog

Edward i jego przyjaciele wypili dostatecznie dużo wina, by wsadzić głowy w paszczę lwa. Na wypadek gdyby sam alkohol nie wystarczył, jechali we trójkę, tak żeby każdy musiał zgrywać chojraka przed pozostałymi. Byli młodzi, dobrze urodzeni i spragnieni szaleństw. A czy istniało coś bardziej szalonego niż spędzenie nocy w Redlum?

Edward nerwowo przełknął ślinę na widok murów, których wyblakła czerwień przedzierała się przez ścianę lasu. W czasach gdy jeszcze był dzieckiem, niańka opowiadała mu legendy o tym miejscu. Podobno umocnienia przewyższały największe drzewa, a na otwartym terenie ciągnęły się aż po horyzont. Dziś nie robiły już tak dużego wrażenia, a młodzieniec potrafił sobie wyobrazić, jak wyglądały ponad tysiąc lat wcześniej.

Ponaglił konia, by towarzysze nie pomyśleli, że obliciał go strach. W końcu Olivier powiedział mu, że miasto żyło z turystów, a opowieści, które o nim krą-

żyły, miały przyciągać żądnych wrażeń ryzykantów. Nikt nie przyjeżdżałby do Redlum, gdyby rzeczywiście miał marne szanse na powrót... Edward rozejrzał się – nawet pijany nie mógł nie zauważyć, że są sami.

– Co z tobą, mały, tchórzysz? – krzyknął Olivier.

– Masz nadzieję, że będziesz mógł zawrócić? – odciął się Edward.

– Mam nadzieję, że mają karczmę i burdel – powiedział tamten ze śmiechem. Zbyt głośnym, by zabrzmiał naturalnie.

Niemal równocześnie ściągnęli wodze i stępa podjechali do bramy. Na spotkanie wyszedł im dość cheralawy strażnik.

– Witamy w Redlum – powiedział, kłaniając się. – Czy mają panowie świadomość tego, gdzie przybyli?

– Pewnie, że mamy! – wrzasnął Olivier. – Redlum, piekło i niebo jednocześnie!

*Gówno macie, a nie świadomość* – ocenił mężczyzna i nawet nie zadał sobie trudu odczytania ich myśli.

– Proszę pamiętać, że wjeżdżają panowie na własną odpowiedzialność. Życzę miłego pobytu – powiedział żołnierz, ponownie się kłaniając.

Młodzieńcy w odpowiedzi tylko wybuchnęli śmiechem. Wartownik nie posiadał daru jasnowidzenia, ale mimo to czuł, że więcej ich nie zobaczy.

– Nawet nie zapytał, po co przyjechaliśmy – zauważył Olivier, trącając łokciem milczącego Gabriela. – Szanują tu przyjezdnych.

Edward chciał zażartować, ale głos uwiązł mu w gardle, gdy tylko wjechali do miasta. Budowle są



siadujące bezpośrednio z bramą stanowiły dziwną zbieraninę. Po jednej stronie stał dwór większy niż siedziba jego ojca. Trudno mu było także odmówić przepychu, nawet jeśli ociekające złotem ornamenty budziły raczej niesmak niż podziw. Naprzeciw niego mieściło się coś, co Edward nazwałby zamkiem – dawną warowną twierdzą, jakich nie budowano już od setek lat.

Im dalej wjeżdżali w Redlum, tym bardziej jednolita stawała się zabudowa. Po obu stronach szerokiej drogi stały wielkie drewniane budynki. W dzisiejszych czasach mało kto budował jeszcze z drewna, a domów tej wielkości ludzie nie stawiali chyba nigdy. No... może ci starożytni, którzy wznosili miasta z szarego kamienia.

Domy różniły się barwą, kształtem okien i zdobieniami, lecz nie szerokością ani wysokością. Przylegały do siebie tak ciasno, że Edward czuł się, jakby sławne mury Redlum otaczały go z każdej strony. Niezupełnie tak to sobie wyobrażał. Nigdzie nie widział straganików z amuletami ani stoisk z drogimi zegarkami wytwarzanymi przez gobliny. Nie wiedział, gdzie szukać sukubów, których uroda i brak zahamowań były słynne w świecie. Jak mógł znaleźć potężnych magów czy jasnowidzów albo chociaż ujrzeć cudaczne fauny? Na nieskazitelnie czystych ulicach nie dostrzegął żywej duszy. Nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek tu mieszkał.

Coraz mniej pewni siebie, powoli jechali główną drogą, która zaprowadziła ich prosto do karczmy

z ogromnymi i zapewne kosztownymi frontowymi oknami. Właściwie tylko dzięki nim zgadli, że to właśnie jest gospoda, bo nigdzie nie było żadnego szyldu. Budynek sprawiał też wrażenie starszego od pozostałych, może z powodu ciemnej barwy drewna.

Zsiedli z koni i przywiązali wodze do pachołków przy korycie z wodą.

– Co za dziura – mruknął Gabriel. – Nie mają nawet stajni.

Edward znowu się rozejrzał. Cisza i pustka – żadnych dziwek, żadnych atrakcji, żadnych mieszkańców. Nic, dla czego warto było ryzykować życie. Powinni zawrócić i pojechać do normalnej karczmy, z normalnymi dziewczynkami, gdzie wspólnie wymyśliliby mrozącą krew w żyłach opowieść dla przyjaciół.

Za późno.

Olivier otwierał już drzwi karczmy, a Gabriel podążał za przyjacielem jak cień.

W środku młodzieńcy zastali tylko staruszka i karczmarza krzątającego się między stołami.

*Dlaczego w tak dużym mieście nie ma w gospodzie gości? – zastanawiał się Edward. O tej porze powinni być tu przecież jacyś kupcy, turyści albo chociaż miejscowi.*

– Witamy panów w Redlum – powiedział karczmarz, kłaniając się. – Czym mogę służyć?

– Piwa! – rzucił Olivier. – Tylko porządnego, nie żadnych szczyn. I trzy pokoje, najlepsze, jakie macie!

– Służę uprzejmie – odparł gorliwie oberżysta. Mężczyźni rozsiedli się wygodnie na ławach. Staruszek w kącie drzemał nad glinianym kubkiem.

Edward nigdy nie widział tak przestronnej karczmy. Stoły były rozstawione możliwie jak najdalej jeden od drugiego, choć w normalnej gospodzie zmieściłoby ich się tutaj dwa razy tyle. Wrażenie przestronności potęgował nienaturalnie wysoki sufit, przywodzący na myśl salę balową.

Uśmiechnięty karczmarz przyniósł im dzbany z piwem i kufle.

Olivier skosztował napoju z zabawnym wyrazem skupienia na twarzy. Można by pomyśleć, że ocenia pierwszą butelkę wina z tegorocznego zbioru.

– No, masz szczęście – mruknął. – Byle następne dzbany nie były gorsze.

– Oczywiście, proszę pana – powiedział oberżysta z uśmiechem.

– Widzicie, jak nas traktują? Pewnie rzadko miewają tak dostojnych gości – szepnęła Olivier.

– Chciałeś powiedzieć: tak nadzianych – mruknął Gabriel.

Karczmarz nie zareagował. On również nie pasował Edwardowi do utartego obrazu właściciela gospody, bo chociaż zwracał się do nich grzecznie, to jego spojrzenie było śmiałe, jakby rozmawiał z równymi sobie. Z wyglądu przypominał młodzieńcowi drwali, których ten widywał czasem w rodzinnych lasach – silny mężczyzna o skórze spalonej słońcem i włosach potarganych przez wiatr. Tylko jego twarz wydawała się gładsza, a ubranie schludniejsze i znacznie droższe.

Gdy karczmarz upewnił się, że nie potrzebują niczego więcej, poszedł do kuchni. Po chwili wyłoniła

się stamtąd dziewczyna, która niosła w rękach stos czystej pościeli i pochylała głowę tak nisko, że jej jasne włosy opadały na zarumienione policzki.

– A jednak mają tu jakieś atrakcje. – Olivier klepnął ją w tyłek, gdy mijała ich stolik.

Dziewczyna odwróciła się błyskawicznie i, nim pościel upadła na podłogę, wbiła szpony w jego przedramię. Usta, znacznie szersze niż u człowieka, skrywały zwierzęce kły. Gdy z jej gardła wydobył się złowrogi warkot, Edward niemal rzucił się do ucieczki.

Olivier zerwał się na równe nogi i w panice odepchnął dziewczynę od siebie. Edward był pewny, że to może ją co najwyżej zdenerwować, lecz służąca upadła na podłogę. Zdążył jeszcze zauważyć, jak jej złociste oczy wypełniają się łzami. Potem odwróciła twarz, podniosła się i kilkoma susami podbiegła do wiodących na górę schodów.

– Trzeba to opatrzyć – powiedział cicho karczmarz, wyciągając zza szynkwasu bandaż.

*Od kiedy oberżysci mają pod ręką opatrunki?!* – pomyślał przytomnie Edward.

Jasna koszula Oliviera nasiąkała krwią w miejscach, gdzie szpony przebiły skórę.

– Przekłęta maskara! Co to, do cholery, było?! – krzyknął zraniony mężczyzna.

– Radzę uważać – mruknął oberżysta. – W Redlum nigdy nie wiadomo, z kim ma się do czynienia.

– Co ty pieprzysz?! Po co komuś taki potwór?! To się powinno trzymać na łańcuchu! – wydierał się spanikowany Olivier.

– Kiedy mój pies mnie pogryzł, ojciec kazał go zabić – powiedział Gabriel.

– Żądam batów! – krzyknął Olivier, wychylając kufel do dna. – Za podniesienie ręki na szlachcica.

Edward nie rozumiał zuchwałego zachowania towarzyszy. Miał ochotę spieprzać i to jak najdalej stąd, ale słyszał, że włóczenie się tu po ciemku jest bardzo złym pomysłem, a właśnie zapadał zmrok. Kątem oka zauważył, jak karczmarz chowa opatrunki z powrotem i cała ta sytuacja wydała się młodzieńcowi podejrzana.

– Czy pan wie, w jakim mieście się znajduje? – spytał cicho karczmarz.

– A czy ty wiesz, kim ja jestem?! – wrzasnął zacie trzewiony Olivier i spojrzał na przyjaciół. – Pilnujcie go, sam pójdę po tę maskarę.

Nim jednak którykolwiek z nich zdążył się ruszyć, drzwi wejściowe skrzypnęły cicho, a do środka weszła czwórka młodych ludzi: trzech mężczyzn i kobieta, której rude loki przyciągały uwagę równie skutecznie, co męski strój. Ubrani byli zgodnie z powszechną w dużych miastach modą w elegancko skrojone zam-szowe kaftaniki, wysokie buty z cholewami i skórzane spodnie. Jak na komendę wszyscy spojrzeli na poplamiony krwią rękaw Oliviera.

– Nie wiedziałem, Słodki, że tak brutalnie obcho-dzisz się z gośćmi – powiedział jeden z przybyłych.

Edward ledwie zapanował nad chęcią ucieczki, gdy zauważył, że kły przybysza były wyraźnie dłuższe niż pozostałe zęby.

– Panowie w Redlum po raz pierwszy, czy może po raz ostatni? – spytał drugi z mężczyzn.

Pozostała trójka się roześmiała, a dziewczyna nerwowo oblizała wargi. Pomyśleć, że jeszcze kilka lat temu, po przeczytaniu pewnej powieści dla dorastających chłopców, młodzieniec marzył o spotkaniu z wampirzycą. Przyglądający im się uważnie Edward nie miał już złudzeń: wszyscy mieli cholerne, nieludzkie kły!

– To nie są moi goście – wyjąkał karczmarz.

Wampir spojrzał pytająco na oberżystę.

– Proszę się częstować – dodał już nieco pewniejszym głosem.

Edward pomyślał, że to sen, że nic takiego nie mogłoby się wydarzyć w normalnym świecie. Pobiegł w głąb budynku, licząc na cud albo chociaż na tylne wyjście. Nie usłyszał ani kroków za sobą, ani przyspieszonego oddechu. Ktoś nagle złapał go za ramię, a gdy Edward próbował się wyrwać, wykręcił mu rękę do tyłu.

Młody człowiek szarpał się ze wszystkich sił. Na darmo. Usiłował kopnąć napastnika albo upaść na kolana i jakoś się wyslizgnąć. Wierzył, że jeszcze coś wymyśli, lecz oszalałe bicie serca nie pozwalało się skupić, wypełniając echem czaszkę. Przecież to nie mogło się tak skończyć! Miał rodzinę, miał plany na przyszłość, nie mógł umrzeć gdzieś na końcu świata.

Wampir objął go mocniej, a chłopak poczuł ukłucie, jakby ktoś wbił mu w szyję sopel lodu. Chciał się wyrwać, ale ciało odmawiało mu już posłuszeństwa. Opadł bezwładnie, podtrzymywany przez mężczyznę.

Edward wciąż wierzył, że to nie koniec. Wierzył aż do ostatniego tchu.



Karczmarz podszedł do staruszka.

– Jeszcze raz to samo? – spytał.

Starzec uniósł powieki, ukazując pozbawione źrenic białka.

– Nie, mdli mnie już od samego dźwięku. – Hessander wskazał na stół, wcześniej zajmowany przez trzech młodzieńców, na którym teraz oni sami stawali się kolacją.

Słodki lubił wampiry, bo niewiele było w Redlum równie kulturalnych i inteligentnych istot.

– Mieszkasz tu tyle lat i jeszcze się nie przyzwyczyłeś? – uśmiechnął się. – Muszę powiedzieć Nanie, że już nie trzeba szykować łóżek.

– Jutro też pojawią się goście, którzy poproszą o trzy najlepsze pokoje – oznajmił starzec. – Będzie wśród nich...

– Nie mów, wolę mieć niespodziankę. Chcę tylko wiedzieć, czy zostaną na noc?

– Tak – powiedział jasnowidz.

– W porządku. I odwróć oczy, lubię, gdy rozmówca patrzy w teraźniejszość.

Starzec zamknął powieki, by po chwili spojrzeć na karczmarza bladoniebieskimi źrenicami.

– Mieszkasz tu tyle lat i jeszcze się nie przyzwyczyłeś? – zadrwił Hessander.

Słodki nie lubił jasnowidzów, tak samo jak nie lubił przyszłości i przeszłości.

Drzwi karczmy otworzyły się na oścież. Zapadła noc, a Redlum budziło się do życia.



TAM, GDZIE  
ZACZYNAJĄ SIĘ  
BAŚNIE...



# Bajka o kopciuszku

Co noc męczyłem się z cholernymi drzwiami biblioteki. Pod pachą trzymałem miotłę, w dłoni świecę, a masywnych wrót nie dawało się otworzyć i zamknąć jedną ręką. W każdym razie nie bezgłośnie. Co prawda nie musiałem koniecznie nieść tych rzeczy, ale jak bym się wytłumaczył, gdyby ktoś znalazł mnie siedzącego w ciemności? W ten sposób mogłem chociaż udawać, że chciałem posprzątać.

Miałem siedem lat, gdy trafiłem do szkoły magii. Nie potrafiłem przywołać ani jednego wspomnienia sprzed tamtego dnia. Podobno ktoś magicznie wymazał mi pamięć, zanim przybyłem do Redlum. Nikt z profesorów nie wiedział, jakim zaklęciem tego dokonano ani czy ten proces można byłoby odwrócić. Ja w każdym razie nie nalegałem, by zmieniać ten stan rzeczy. Gdybym wychował się w domu wypełnionym miłością, to nikt nie zadałby sobie trudu, by pozbawić mnie wspomnień. Podejrzywałem więc, że miałem koszmarne dzieciństwo i ktoś życzliwy po prostu pozwolił mi o nim zapomnieć.

Nie wiedziałem nic o swoich rodzicach, ale dzięki temu mogłem sobie wyobrażać, że mnie kochali i nadal żyją. Oczywiście, przynajmniej jedno z tych założeń musiało być fałszywe, skoro wylądowałem jako podrzutek w Redlum.

Nauczyciele nazwali mnie Dig, bo uważali, że to dobre imię dla posługacza: krótkie i łatwe do zapamiętania. Przyznaję, że go nie lubiłem. Wiele osób sądzi, że nienawidziłem również nauczycieli, ale to przesada. Sprzątanie szkoły nie było wcale takie straszne, a co najwyżej strasznie nudne, zwłaszcza odkąd przestałem sypiać.

Minąłem kilka rzędów jednakowych pulpitów. W końcu o kant jednego ze stolików oparłem miotłę, a na blacie postawiłem świecę. Stanałem na palcach i z trudem ściągnąłem z półki opasłe tomiszcze. Porywająca lektura, jaką były *Kataklizmy nienaturalne*, nie obfitowała w dobrze zarysowanych bohaterów ani ciekawe zwroty akcji. Na szczęście z powodu głupiej bezsenności nie zasypiałem nawet nad równie wciągającymi dziełami, a który domorosły mag nie marzył o władaniu piorunami albo tworzeniu tornad, choćby malutkich.

Rozłożyłem księgę na pulpicie i zatopiłem się w rozdziale o powodziach. Nie wiem, ile czasu upłynęło, nim usłyszałem kroki na korytarzu. Nie zastanawiałem się nawet, czy powinienem był je słyszeć z tej odległości. Rozległo się skrzypnięcie drzwi, otwieranych centymetr po centymetrze.

Szybko odłożyłem książkę i złapałem miotłę. Zawsze zastanawiałem się, czy ktokolwiek uwierzy w moje zapewnienia o nocnym sprzątaniu biblioteki.

Cóż, teraz przynajmniej będę miał okazję się przekonać.

Najpierw zobaczyłem tańczący płomyk świecy, a potem zarys kobiecej sylwetki, wyłaniającej się z ciemności. Bez trudu rozpoznałem Florę, która cieszyła się wyjątkową popularnością wśród uczniów, a niektórzy twierdzili, że także wśród nauczycieli. Wiedziałem tylko, że pracowała w szkole, lecz nie byłem pewien, czy jako służąca. Większość z nas nie widziała dotąd piękniejszej kobiety, więc każdy modlił się, by to właśnie jego obdarzyła swoimi wdziękami. Gapiłem się na nią z głupią miną, ściskając nerwowo kij szczotki. Dziewczyna zbliżała się powoli, kołyszac biodrami w rytm jakiejś niesłyszalnej muzyki. Chyba już wtedy zrozumiałem, że tej nocy szczęście uśmiechnęło się do mnie.

– Od tygodnia obserwuję, jak się tu zakradasz. Sprzątasz o tej porze? – spytała, stawiając świecę obok mojej.

– Nie mam nic lepszego do roboty – odparłem, starając się, by mój głos brzmiał naturalnie.

– Jeszcze nigdy nie sprzątałam z nudów – zadrwiła.

– Tak naprawdę uczę się potajemnie zaklęć, żeby zostać potężnym magiem – rzuciłem pół żartem, pół serio, bo kariera maga nigdy mi się nie marzyła.

Zaśmiała się cicho.

– Pozwolisz, magu, że wezmę twoją różdżkę? – spytała, z rozmysłem akcentując dwuznaczność tych słów.

Nie uśmiechnęła się z politowaniem, gdy dotknęła moich zbiegających kłykci. Zmusiłem się do rozluźnienia

uścisku i oddania jej szczotki. Dziewczyna położyła ją na podłodze.

Wstyd się przyznać, ale mając szesnaście lat jeszcze nigdy się nie całowałem. Stałem więc jak słup soli, a serce waliło mi jak oszalone, bo bałem się, że lada chwila prawda wyjdzie na jaw, a ja zostanę pośmiewiskiem całej szkoły.

Miałem jednak więcej szczęścia niż rozumu. W końcu trafiłem na Florę, która mimo młodego wieku zdążyła już uwieść kilka roczników uczniów.

Złapała mnie za koszulę, przyciągnęła do siebie i niemal siłą wsunęła język do moich ust. Chciałem udawać, że to dla mnie chleb powszedni, ale nijak nie wychodziło. Tak bardzo skoncentrowałem się na ruchach języka, że nie czerpałem z tego żadnej przyjemności. Flora niespodziewanie się cofnęła i z tajemniczym uśmiechem dotknęła warg.

– Jadłeś jakieś delicje? – spytała.

– Tylko tę najpiękniejszą – odparłem, sądząc, że to miłosna gierka.

– Chodziło mi o ten słodki smak, głuptasie.

Pocałowała mnie w policzek, jak dzieciaka. Potem jej usta zaczęły zsuwać się coraz niżej po linii szyi, a niewinne buziaki zostały zastąpione przez zmysłowy taniec języka. Cofnęła się ponownie, lecz tym razem tajemniczy uśmiech ustąpił miejsca wyraźnemu zaskoczeniu.

– Twoja skóra również jest słodka. To chyba niemożliwe – wyjąkała.

Dopiero wtedy zwróciłem uwagę na smak jej pocałunku. Może zbyt dosłownie traktowałem określenie

„słodczy kobiecego ciała”, ale biorąc pod uwagę posmak mojej skóry, słodczy wydawała mi się naturalna. Zaskoczenie, które malowało się na twarzy Flory, nie pozostawiało złudzeń – próbowała już niejednego mężczyzny i widocznie żaden nie był taki jak ja.

Na szczęście Flora, tak uzdolniona w innych dziedzinach, nie należała do osób przesadnie skłonnych do refleksji. Widząc moją konsternację i minę zbitego psa, po prostu musiała mnie pocieszyć.

– No chodź tu, cukiereczku – mruknęła.

Nawet jeśli jej słowa nie przyniosły zamierzonego efektu, namiętny pocałunek dopełnił dzieła. Martwiłem się wprawdzie, ale bardzo szybko odsunąłem od siebie te myśli i skoncentrowałem na tym, co działo się tu i teraz. Nie przestając jej całować, pociągnąłem za jeden ze sznurków gorsetu. To był błąd: zamiast rozwiązać kokardkę, zaciągnąłem supeł. Przez dłuższą chwilę starałem się równocześnie splatać nasze języki i rozplatać sznurki, ale tej drugiej czynności nie mogłem wykonać po omacku.

W końcu delikatnie odwróciłem Florę i zacząłem czule całować jej kark. Skóra dziewczyny miała słonawy posmak, lecz nie zwracałem na to uwagi, zajęty kombinowaniem, jak zejść niżej. Zrezygnowany, uklęknałem za nią i musiałem pomóc sobie zębami, by rozwiązać ten cholerny gorset.

– Mmmm – zamruczała. – Zwierzak z siebie.

Wiązanie wreszcie ustąpiło, stawiając mnie przed dylematem: co dalej? Wysłuchiłem tyłu sprośnych opowieści starszych kolegów, że kobiece ciało nie powinno

mieć przede mną tajemnic. A jednak żaden z nich nie wspomniał, czy gorset należy rozciągnąć na boki, czy pociągnąć do góry i ściągnąć dziewczynie przez głowę. Na szczęście Flora nie była zbyt cierpliwa.

– Może ja to zrobię, zanim rozszarpiesz moje ubrania zębami – powiedziała zalotnie, a w jej głosie nie usłyszałem nawet cienia drwiny.

Z nieprawdopodobną gracją uwolniła się z gorsetu, bluzki, spódnicy, halki, drugiej halki... Podejrzewam, że przeciętne posługaczki nie nosiły tyle tego na sobie, ale Flora z pewnością nie była przeciętna.

Jakby przypadkiem stanęła w samym środku kręgu światła, rzucanego przez świece, i na chwilę zastygła w bezruchu. Potem podeszła powoli, kołysząc biodrami, i położyła dłoń na pasku moich spodni.

– Sprawdźmy, czy cały jesteś słodki – wyszeptła.

Lubię myśleć, że tamtej nocy wszystko się zmieniło. Że suma drobiazgów, które wcześniej ignorowałem, nie pozwoliła mi dłużej wierzyć w moją przynależność do ludzkiej rasy. Właściwie wątpię, czy już wtedy to wiedziałem. Być może po prostu wolałem wspominać upojną noc niż dzień, który nastał po niej.

Rozstaliśmy się przed świtem. Nie mówiliśmy zbyt wiele, bo żadne z nas nie miało wątpliwości co do przyszłości tego związku. Chyba byliśmy sobie wdzięczni za ten brak złudzeń.

Flora nie zamierzała udawać, że byłem tym pierwszym, tym ostatnim albo tym najlepszym. Ja zaś dopiero wyrastałem z tego wieku, gdy o kobietach się najchętniej śni, bo wtedy nie trzeba z nimi rozmawiać.



Wróciłem do izby, położyłem się na sienniku, który górnolotnie nazywałem łóżkiem, i leżałem do wschodu słońca. Wyjątkowo jednak czas mi się nie dłużył. Gdy światło dotarło do przeciwległej ściany mojej klitki, a na korytarzu rozległy się gniewne pomruki zaspanych kucharzy, odwróciłem się na drugi bok. Codziennie cierpliwie czekałem, aż stary Lendo otworzy drzwi z głośnym skrzypnięciem zawiasów.

– Wstawaj, leniu! – krzyknął.

Wymruczałem coś w odpowiedzi, ale mężczyzna już wyszedł, trzaskając drzwiami. Nawet gdybym spał, ten łomot byłby wystarczającą pobudką.

Na początku mojego okresu bezsenności wstawałem pierwszy i z uśmiechem na twarzy witałem wszystkich wchodzących do kuchni. Nienawidzili mnie za to.

Wyskoczyłem z łóżka i zrobiłem kilkadziesiąt pompek, bo z rana nie chciałem zdradzać się z nadmiarem energii ani dobrego humoru.

Gdy skończyłem, ubrałem się pośpiesznie i przybrałem najbardziej ponurą minę, na jaką było mnie stać, po czym wyszedłem z izby. Powlokłem się przez korytarz, co kilka kroków przypominając sobie, że nie wolno mi biec ani podskakiwać.

Gwar w kuchni przywitałem szerokim ziewnięciem i wyćwiczonym tarcie oczu. O tej porze na posiłek przychodziła prawie cała służba. Prawie, bo Flora, podobnie jak kilka innych dziewcząt, nigdy nie jadła z nami. Stary Lendo powiedział kiedyś z porozumiewawczym mrugnięciem, że muszą odsypiać, a ja byłem zbyt młody i niewinny, żeby zrozumieć, co miał na myśli.

Zjadłem rozgotowaną owsiankę, której smak na szczęście udało mi się wyrzucić z pamięci. Potem podjąłem, jak zwykle nieudaną, próbę wymknięcia się z kuchni. Cóż, moje starania były z założenia skazane na porażkę. Lendo zatrzymał mnie w drzwiach.

– A ty dokąd, leniu? – zapytał ze śmiechem.

– Chciałem posprzątać bibliotekę – odparłem, najwyraźniej zbyt szybko i za mało pośpiesnie.

– Bibliotekę, co? – Stary posługacz przyjrzał mi się podejrzliwie. – Dobra, zacznij od biblioteki, a potem umyjesz schody w piwnicy. Jakiś pierwszak rozbił słój pełen jelit.

Szkoła miała taki przerób preparatów anatomicznych, że zastanawiałem się, skąd brane są nowe materiały.

Skrzywiłem się i dopiero po dłuższej chwili skinąłem głową, bo Lendo nabrałby podejrzeń, gdybym zgodził się zbyt chętnie. Tak naprawdę lubiłem piwnicę: w skrzyniach składowano mnóstwo przedmiotów o fantazyjnych kształtach i niesamowitych barwach, które uczniowie w ramach kursu archeologii przynosili z wykopalisk, podobno zlokalizowanych tuż za murami. Jako dziecko lubiłem się zakradać do piwnicy, żeby bawić się półprzezroczystym materiałem, dostatecznie lekkim, by unosił się na wietrze albo wodzie, a jednocześnie tak gęstym, że ani jedno, ani drugie nie mogło przez niego przeniknąć. Znajdowali go tak dużo, że trudno było stwierdzić, czy rzeczywiście pochodził ze starożytności. Za to wizja uszytych z tego ubrań nie traciła na atrakcyjności, przynajmniej wśród przedstawicieli płci męskiej.

Wciąż zachowując pozory, przeszedłem leniwie korytarzem dla służby, na wszelki wypadek ziewając co jakiś czas. Dopiero w lewym skrzydle budynku mogłem sobie pozwolić na szybszy krok, a do biblioteki dobiegłem modląc się, by nikt tam nie zaglądał o świącie. Niepotrzebnie się martwiłem.

Gdy wreszcie sforsowałem masywne wrota, moim oczom ukazał się idealny porządek. Jedyne miotła, dyskretnie wsunięta pod regał z podręcznikami magii leczniczej, przypominała o wydarzeniach minionej nocy. Do południa uwinąłem się z biblioteką i piwnicą. Zależało mi na czasie, bo chciałem jeszcze zdążyć na lekcje ostatniego roku. W zajęciach z profesorem Kardinem mogłem brać udział jedynie raz na kilka dni, aby nie wzbudzać podejrzeń. Właściwie to ja tylko sprzątałem salę, a gdyby ktoś mnie spytał, dlaczego muszę to robić akurat w trakcie lekcji, nie potrafiłbym odpowiedzieć. Na szczęście nie pytali.

Dopiero wtaszczenie dwóch wiader wody na piąte piętro pozbawiło mnie nadmiaru energii. Swobodnie wszedłem do sali, nie podejrzewając, że tym razem znajdę się w samym centrum zainteresowania.

Nauczyciel jeszcze nie przyszedł. Grupa starszych uczniów stała pod ścianą. Spojrzeli na mnie, kiedy się pojawiłem. Byłem ich jedyną nadzieją na obserwowanie czegoś innego niż scena, która rozgrywała się pośrodku. Właśnie tam Gedbal Andemor zaciskał dłonie w pięści. Przed nim stała Flora, a siniak na jej policzku dopiero zaczynał nabiegać krwią.

Gedbala uważano za najpotężniejszego maga ze swojego rocznika. Mówiło się, i to całkiem głośno, że pozostanie w szkole jako nauczyciel. Oczywiście, jak przystało na potężnego maga, Andemor był także strasznym dupkiem.

– Myślisz, suko, że możesz się łajdaczyć, z kim chcesz?! – wrzasnął, nie zważając na publiczność.

Flora spojrzała na mnie błagalnie. Odstawiłem wiadra i ruszyłem w jej stronę. Nie trzeba było intelektu najzdolniejszego ucznia w szkole, by odgadnąć, że tkwię w tym szambie po uszy.

– Zdradziłaś mnie z czyszcicielem latryny?! – wrzasnął Gedbal, po czym złapał dziewczynę za włosy i brutalnie pchnął na podłogę.

Zachowałem się tak, jak zachowałby się na moim miejscu każdy mężczyzna znający odrobinę magii – złożyłem dłonie i przez zęby wyszczałem formułę *Badelo Erdi*. Impet zaklęcia uniósł zaskoczonego Gedbala, przerzucił przez salę i wbił w przeciwległą ścianę. Niewielka strużka krwi wypłynęła mu z nosa. Młody mag zapewne nawet by jej nie poczuł, tylko zerwałby się na równe nogi i przystąpił do kontrataku. A przynajmniej postąpiłby tak, gdyby żył.

Po kilku sekundach lub może nawet minutach, w ciągu których nikt się nie poruszył, drzwi za moimi plecami otworzyły się gwałtownie. Profesor Agnesto Kardin w kilku krokach przemierzył salę, nie pytając, co się stało. Spojrzał na martwego Gedbala, na cicho płaczącą Florę i na mnie.

– Nie chciałem go zabić – wyszeptałem. Nawet uczeń pierwszego roku wiedział, że za pomocą *Badelo*

*Erdi* można co najwyżej złamać komuś rękę, a i wtedy ofiara musi mieć wyjątkowego pecha.

Kardin nie udawał, że słucha. Z kamienną twarzą zaczął wypowiadać zaklęcie paraliżujące, a ja zupełnie odruchowo skrzyżowałem ręce na piersi i wyrecytowałem formułę obronną. Przede mną zmaterializowała się tarcza, o ile można tak powiedzieć o chaotycznych refleksach błękitnego światła. Nauczyciel nie okazał zaskoczenia, tylko przeszedł do potężniejszych zaklęć. Cały czas jednak starał się mnie obezwładnić, a nie zranić.

Broniłem się skutecznie, ale po co? Co ja właściwie wyrabiałem? Co zrobię, jeśli odeprę atak? Ucieknę? Dokąd? Nigdy nie opuszczałem szkoły.

– Spokojnie, chłopcze. – Łagodny głos Kardina wyrwał mnie z zamyślenia. – Nikt nie chce cię skrzywdzić.

Dopiero wtedy zrozumiałem, że w chwili, gdy zacząłem analizować swoją sytuację, przestałem się bronić. Trzeba być kompletnym idiotą, żeby w środku starcia z nauczycielem magii zapomnieć o recytowaniu zaklęcia. Rzecz jednak w tym, że osłona nie znikła – wciąż mnie chroniła, co wydawało mi się absolutnie niemożliwe.

– Tylko spokojnie. Nic ci nie grozi – zapewniał Kardin.

Nauczyciel starał się unikać gwałtownych ruchów. To była podstawowa zasada, której ludzkie dzieci w Redlum uczono od najmłodszych lat: nigdy nie drażnić istot magicznych.

Z trudem opuściłem ręce, mocno przyciśnięte do piersi. Dopiero teraz zauważyłem, że drżą. Miałem nadzieję, że inni tego nie widzieli.

– Nie chciałem go zabić. Użyłem tylko *Badelo Erdi* – powiedziałem.

– Nie mogłeś tego przewidzieć – zapewnił mnie Kardin. – Siłę zakłęb określamy dla ludzi.

Po raz pierwszy ktoś powiedział głośno, że nie jestem człowiekiem. Zrobiło mi się gorąco i słabo. Gdybym zemdłał, chyba spaliłbym się ze wstydu. Rozejrzałem się po sali: wielu uczniów zbladło, niektórzy patrzyli na mnie z rozdziawionymi ustami. Flora podniosła się powoli z podłogi, ale nie miała odwagi spojrzeć mi w oczy.

– Słodki – wyszeptwała.

Profesor dał mi znak, żebym poszedł za nim. Być może temu gestowi towarzyszyły jakieś słowa, ale byłem zbyt roztrzęsiony, by je usłyszeć. Nie zastanawiałem się nawet, dokąd mnie prowadzi.

Nie od razu rozpoznałem też gabinet dla gości, do którego weszliśmy. Był jednym z wielu miejsc zbyt eleganckich dla takich jak ja. Nawet jeśli chodziło tylko o sprzątanie.

– Usiądź – powiedział łagodnie Kardin.

Przycupnąłem na skraju wielkiego fotela. Omal z niego nie spadłem, gdy lokaj w liberii zmateriałizował się przy drzwiach. To nie była magiczna sztuczka – po prostu nie zauważyłem, kiedy wszedł. Mężczyzna zmierzył mnie wzrokiem pełnym pogardy.

W Redlum byli równi i równiejsi – i podobnie w szkole pracowała służba i Służba. Tacy jak ten od-

zywali się do nas tylko gdy byli pijani, a wtedy, wprawieni w dobry nastrój, przypominali sobie, że oni też kiedyś szorowali schody w piwnicy i nosili opał.

– Podaj nam coś na rozluźnienie atmosfery – rozkazał Kardin.

Profesor udał, że nie widzi miny lokaja i uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo. Dopiero kiedy sięgał po alkohol, zauważyłem, że jego dłonie drżą jeszcze bardziej niż moje.

– Mogłeś powiedzieć nam wcześniej – zagadnął Kardin. Jednocześnie kręcił kciukami młynka jak wyrwany do odpowiedzi uczeń.

Wziąłem do ręki kieliszek i wychyliłem całą zawartość jednym haustem.

Łzy nabiegły mi do oczu. Chociaż starałem się zignorować drapanie w gardle, nic z tego nie wyszło. Ostatkiem sił odstawiłem kieliszek i zaniósłem się takim kaszlem, że zleciałem z fotela. Od tej pory zapamiętałem, żeby nie siadać na samym brzeżku.

Można powiedzieć, że tak właśnie wyglądały moje początki na salonach. Dziś umiałbym rozpoznać po zapachu, jaki dostałem koniak. Wtedy jednak potrafiłem tylko ocenić, że piwo to raczej nie było.

Nie pozwolili mi wrócić do mojej klitki. Lokaj zaprowadził mnie do jednego z eleganckich pokoi dla gości, czasem zatrzymujących się w szkole. Zaraz przysłano też pokojówkę, która naszykowała mi prawdziwą gorącą kąpiel z pachnącymi olejkami, a także krawca, by wziął miarę na nowe ubranie.

Otoczony atlasowymi poduszkami i karmiony frykasami, słyszałem tylko plotki o burzy, która przetoczyła się przez szkołę. Istotom magicznym nie podobało się to, że zrobiono ze mnie posługacza. Ze mnie! Choć nie pamiętałem, kim jestem i nikt nie rozpoznał gatunku, do którego należałem! Oburzające!

Oczywiście uważałem, że to śmieszne – skoro nikt nie zgłaszał podobnych pretensji, dopóki uchodziłem za człowieka. Dziś śmieszy mnie jedynie moja ówczesna naiwność. Cóż, byłem młody i nie wiedziałem, że to, czym się okazałem, za murami Redlum zostałyby zabite, poćwiartowane i spalone. Niekoniecznie w tej kolejności.

Gdy dotarła do mnie wieść, że rektor zrezygnował ze stanowiska i opuścił Redlum, byłem pewien, że zrobił to, by uspokoić nastroje w mieście. W końcu porozumienie ludzi i istot magicznych przypominało raczej zawieszenie broni niż prawdziwy pokój.

Dopiero wiele miesięcy później zrozumiałem, że najstraszliwszą rzeczą, jaka wydarzyła się w szkole, był fakt, że potajemnie uczyłem się magii. Ludzie zachowali tę dziedzinę tylko dla siebie, bo dzięki umiejętności rzucania zaklęć mogli twierdzić, że są w stanie mierzyć się z istotami magicznymi. Ja zaś zachwiałem utrzymywaną przez stulecia równowagę. To znaczy zachwiałbym, gdybym faktycznie przykładał się do nauki.

W szkole traktowano mnie zatem jak dostojnego, lecz niepożądanego gościa. Wszyscy patrzyli mi na ręce, milkli, kiedy się do nich zbliżałem i pilnowali, żebym nigdzie nie chodził sam. Z dnia na dzień stra-



ciem dostęp do biblioteki i sal wykładowych. Nie mogłem też sprzątać i pracować na zewnątrz, a dawni przyjaciele unikali mnie jak ognia.

Choć nie mieszkałem już w klitce ani nie karmiono mnie resztkami, po miesiącu czułem się jak w więzieniu. Było dla mnie jasne, że muszę się stamtąd wydostać, znaleźć sobie jakieś zajęcie i nowych przyjaciół, którzy zaakceptują to, kim jestem. Kimkolwiek bym się nie okazał, bo z półsłówek wyciąganych od nauczycieli zrozumiałem tylko, że wciąż nie wiadomo, do jakiej rasy przynależę.

W tajemnicy dowiedziałem się, że w największej karczmie w mieście pomocnik oberżysty akurat zginął w wypadku. Wtedy jeszcze nie rozumiałem, że w Redlum tak właśnie określało się zdarzenia kończące się dla jednego z uczestników zjedzeniem, spopieleniem albo utratą połowy czaszki w bójce. Nie przeszkadzała mi nawet świadomość, że lokaj przekazał mi tę informację, aby się mnie pozbyć.

On również umożliwił mi wymknięcie się ze szkoły i podpowiedział, że do karczmy najlepiej pójść o zachodzie słońca. Właściciel zazwyczaj otwierał późnym popołudniem, a pierwsi goście rzadko zjawiali się przed zapadnięciem zmroku. Dzielnicę ludzi – w której mieściły się szkoły magii – i Powerstreet, gdzie stała największa karczma w Redlum, dzielił spory kawałek.

Byłem tam raz z kolegami – oczywiście nie w samej karczmie. Ukryliśmy się wtedy za wozem i obserwowaliśmy wnętrza przez wielkie okna. Tacy jak my nie mieli odwagi zbliżyć się do drzwi. Nie chodziło o nasz